

Wstęp do piekła Nowego Jorku

Spektakl

Edmond

David Mamet

Teatr Montownia

przekład: Agnieszka Hein; reżyseria: Krzysztof

Stelmaszyk; scenografia: Paulina Czernek.

Premiera: Teatr Collegium Nobilium, 30 marca

●● **Aktorski kwartet Teatru Montownia jest w doskonałej formie. Może dlatego, że nie zasklepia się w żadnej stylistyce, wciąż zmienia repertuar i estetykę, wchodzi w coraz to nowe konfiguracje z innymi aktorami i z reżyserami.**

Najnowszą produkcją Montowni jest „Edmond” Davida Mameta. Przedstawienie może nie rzuca na kolana, ale budzi uznanie, przede wszystkim dla oszczędnej formy, która – choć oparta na zużytych chwycie teatru w teatrze – inteligentnie przystaje do tematu sztuki.

Scena z trzech stron zamknięta jest prostą, metalową konstrukcją, która tworzy system pomostów

i schodów. Na górnym pomoście znajduje się coś w rodzaju garderoby: aktorzy, którzy chwilowo nie uczestniczą w akcji, zmieniają kostiumy, charakteryzują się przed lustrem albo przyglądają się kolegom grającym „na parterze”. Tu przestrzeń gry stwarzana jest ad hoc, niemal z niczego, z najprostszych przedmiotów i światła – za odsloniętą kurtynką kryje się kabina peep-show, drewniany blat na metalowym stelażu w zależności od aktualnej potrzeby staje się barem, ladą w sklepie jubilera albo stolikiem do gry w trzy karty. Fotel oznacza mieszkanie, ale wystarczy go rozłożyć i nakryć kapą, żeby stał się łóżkiem w burdelu albo w pokoiku przygodnej kochanki.

W takiej przestrzeni sześcioro aktorów przedstawia serię epizodów, które – wywiedzione z mrocznych i brutalnych realiów Nowego Jorku – układają się w przypowieść o cechach moralitetu.

Oto tytułowy Edmond (Maciej Wierzbicki), typowy przedstawiciel klasy „białych kołnierzyków”, pod wpływem wróżbity porzuca dom i rodzinę

i rozpoczyna inicjacyjną wędrówkę po dantejskich kręgach nowojorskiego piekła. Napotyka szulerów i sutenerów, dziwki i niespełnione aktorki, kaznodziejów i dilerów (pięcioro pozostałych aktorów gra po kilka postaci, tworząc paroma szybkimi kreskami wyraziste indywidua), poznaje wykołejony świat rządzony przez seks i pieniądze, wikła się w ekstremalne sytuacje, aż z niejasnych dla siebie powodów zabija nożem przygodnie poznaną kobietę.

W więzieniu, gdzie w końcu trafia, doznaje iluminacji, która pozwala mu rozpoznać sens i cel drogi, jaką przebył. Ta droga stanowi zresztą zarówno metaforę, jak i zasadę dramaturgiczną sztuki, która przywodzi na myśl tak zwane dramaty stacyjne Strindberga.

Sam Mamet przyznawał się do inspiracji „Woyciekiem” Büchnera. Tak czy inaczej, i sztuka, i przedstawienie z realistycznych mikrosytuacji budują na wpół senny czy skażony obłędem obraz świata, w którym dopiero dotknięcie samego dna egzystencji pozwala na wewnętrzne odrodzenie. Moralistyczny temat zderza się z plugawym

i obscenicznym językiem. Mamet prowokuje wypowiedziami rasistowskimi i seksistowskimi, na tyle dalekimi od politycznej poprawności, że amerykańskie środowiska akademickie protestowały przeciwko wystawianiu sztuki.

Wśród możliwych interpretacji „Edmonda” jest i taka, która musi uwzględnić nazwisko głównego bohatera: Burke – bez wątpienia znaczące. Ale do czego Mametowi służy odwołanie do Edmunda Burke’a, XVIII-wiecznego filozofa polityki, który stworzył podstawy nowoczesnego konserwatyzmu? Jednym z tematów „Edmonda” jest wolność i jej granice. Nie kto inny jak właśnie Burke poszukiwał złotego środka między liberalną zasadą wolności a konserwatywną zasadą ładu i głosił, że wolność bez cnoty i mądrości jest złem, szaleństwem i występkiem pozbawionym wędzidel.

Z tego punktu widzenia sztuka Mameta wyraźnie do idei irlandzkiego myśliciela nawiązuje. A przedstawieniem Montowni można nie tylko oczyścić, ale też umysł pożywić. ●

JANUSZ MAJCHEREK